

Bóg. Czysta. Prostota



Bóg. Cisza. Prostota



Brat Marek z Taizé
w rozmowie z Piotrem Żyłką

© Wydawnictwo WAM, 2019

© Ateliers et Presses de Taizé, 71250 Taizé, France, 2019

Opieka redakcyjna: Kama Hawryszków

Redakcja: Marek Gurba

Korekta: Agnieszka Zielińska, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Katarzyna Legendź

Skład i opracowanie graficzne: Lucyna Sterczewska

Fotografia na okładce: brat Krzysztof z Taizé

ISBN 978-83-277-2268-3

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

druk i oprawa: ABEDIK • Poznań

Publikację wydrukowano na papierze Stella Press 70 g vol. 1.3

dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

Przedmowa

Londyn, 13 grudnia 1981 roku. Brat Marek, bardzo poruszony, właśnie podzielił się z nami wiadomością o wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Niepokój był ogromny: jaka przyszłość czeka związek zawodowy „Solidarność” i cały kraj? I w jeszcze bliższej perspektywie, czy młodzi Polacy, których tysiące miały wziąć udział w naszym spotkaniu europejskim dwa tygodnie później, będą mogli przyjechać? Byliśmy wtedy młodzi, minęło wiele lat, ale to wspomnienie wciąż jest dla mnie bardzo żywe.

Jestem szczęśliwy, że nadarzyła się okazja, by wyrazić wdzięczność naszemu bratu Markowi. Na łamach książki, w której rozmawia z Piotrem Żyłką, ponownie, na tle wyzwań stojących przed światem, przemierza on dziesiątki lat swojej drogi za Chrystusem, życia naszej wspólnoty, przyjmowania w Taizé młodych ludzi.

Kiedy myślę o historii ostatnich lat w Polsce, pamiętam przede wszystkim o wspomniałym gościu polskich biskupów – był wśród nich przyszły święty Jan Paweł II – kiedy na zakończenie Soboru Watykańskiego II, 18 listopada 1965 roku, zaprosili biskupów niemieckich do „dialogu, wzajemnego przebaczenia i braterstwa” i zakończyli swój list tymi nieoczywistymi słowami: „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”. Ta wyciągnięta ręka zmieniła bieg historii.

Brat Roger, założyciel Wspólnoty z Taizé, od najwcześniejszych lat był przywiązany do narodu polskiego. Już jako student głęboko przeżywał napaść na Polskę, wydarzenie, które rozpoczęło drugą wojnę światową. Później, w Taizé, kiedy poznał polskich intelektualistów, nabrał mocnego przekonania, że wiara jest skarbem, który Polacy otrzymali i którym mogą się dzielić z wieloma innymi.

Brat Roger bardzo lubił brać udział w ludowych formach wyrażania tej wiary. W latach siedemdziesiątych chętnie uczestniczył z bratem Markiem w kilku pielgrzymkach górników do Piekar Śląskich. Był poruszony ich pokorną miłością do Boga i do Kościoła.

Ja mam inne osobiste wspomnienie związane z Polską i z bratem Markiem. To, rzecz jasna, pierwsze Europejskie Spotkanie Młodych organizowane w Europie Środkowej, które razem przygotowaliśmy. We Wrocławiu w grudniu 1989 roku dziesiątki tysięcy młodych uczestników mogły odkryć serdeczną polską gościnność. Cieszę się więc, że po trzydziestu latach możemy się znowu spotkać w tym mieście!

Dzisiaj nadal wsparciem dla nas jest wiara i modlitwa tak wielu Polaków. I chcę powiedzieć, że bardzo istotne jest, żeby naród nie utracił tego żywego skarbu wiary. Potrzeba z pewnością jakiegoś *aggiornamento*, jak to nazywał święty papież Jan XXIII, nowej wrażliwości, żeby młode pokolenia odkrywały, jak nadal żyć wiarą w zmieniającym się świecie. Ufam, że Polacy odnajdą tę drogę.

Brat Alois z Taizé

Wstęp

Jest 26 sierpnia, poniedziałek. W Taizé jestem od kilku dni. Do końca miesiąca mam oddać gotowy tekst książki. Dlatego od samego początku mojego pobytu tutaj próbuję napisać wstęp. Zaczynałem już kilka razy, ale każda z tych prób lądowała w koszu. Nie jest łatwo dzielić się czymś, co jest jednym z najważniejszych doświadczeń w życiu. Jakich słów użyć, żeby nie zabrzmiało to nieznośnie patetycznie? Albo wręcz przeciwnie – żeby nie wyszło infantylnie i banalnie? Przecież dobrze wiem, jak ważny jest język. Wielokrotnie sam irytuję się, kiedy w kościołach słyszę wypowiedzi oderwane od rzeczywistości. Wszyscy to dobrze znamy. Kroczenie, pochylanie się z troską, spożywanie, przewiełbne ekscelencje i prześwietne kurie – przykłady kościelnej nowomowy można by mnożyć bez końca. Z drugiej strony niewypełnione żadną poważniejszą refleksją frazesy o tym, że Bóg kocha każdego z nas i ma dla każdego z nas wspaniały plan.

Jak podzielić się czymś, co naprawdę wywróciło moje życie do góry nogami i ukształtowało moją wrażliwość na całe lata? To wcale nie jest przesada. Dziś wiem, że to, jak patrzę na świat, jak widzę misję Kościoła i co jest dla mnie najważniejsze w życiu, mam właśnie stąd.

Kiedy już myślałem, że nie dam rady wyrazić tego, co tak bardzo chcę przekazać, i pewnie będę musiał poprosić redaktorkę czuwającą nad powstaniem tej książki o kilka dodatkowych dni na skończenie pracy, w Taizé zaczął się nowy tydzień.

Ostatni tydzień sierpnia to tutaj tak zwany tydzień specjalny. W tym roku jest on poświęcony ekologii. „Solidarność z całym Stworzeniem. Zatrószmy się o Ziemię!” – takie hasło widnieje na programie, który dostał każdy z uczestników. Po porannej

modlitwie w Kościele Pojednania i śniadaniu poszedłem na wprowadzenie biblijne. Okazało się, że poprowadzi je brat Emil. Ucieszyłem się bardzo, bo raz już brałem udział w jego wprowadzeniu i wtedy zrobiło ono we mnie dużo dobrego. Tym razem brat Emil zupełnie nieświadomie rozwiązał mój problem. Już po kilkunastu minutach poczułem, że w końcu mam wstęp.

Brat Emil opowiedział o pewnej dziennikarce i ekonomistce, która opisując sytuację, w jakiej znajduje się dzisiejszy świat, zaznaczyła, że nie chce już poruszać tematu kryzysu, o którym mówią wszyscy dookoła. Zamiast tego chce mówić o nowym początku i szukać odpowiedzi na pytanie, co możemy zrobić, żeby nie poddać się wszechobecnemu defetyzmowi i zacząć budować chociaż trochę lepszą rzeczywistość – rozpoczynając od samego siebie. To wcale nie znaczy, że mamy ignorować problemy, tragedie, skandale i otaczający nas chaos. Nie chodzi też o naiwny optymizm. Chodzi o zmianę akcentów w myśleniu, która pozwoli nam przejść od załamывania rąk z bezsilności do próby wzięcia spraw w swoje ręce i uwierzenia, że niezależnie od sytuacji jesteśmy w stanie zacząć wszystko od nowa. „Pamiętajmy, że Pan Bóg stworzył świat z chaosu, a nie z idealnie poukładanej rzeczywistości” – dodał brat Emil.

Właśnie dlatego piszę tę książkę. Właśnie dlatego od kilku lat namawiałem brata Marka do tych rozmów i właśnie dlatego prawie każdą wolną chwilę od początku tego roku poświęciłem na pracę nad tym projektem.

Kilkanaście lat temu znalazłem się na życiowym zakręcie. Ktoś może zapytać, co może powiedzieć o prawdziwych problemach nastolatka, który wychował się w zamożnej lekarskiej rodzinie. Jednak poczucie bezsensu i w konsekwencji rozpacz, z której nie widać wyjścia, może dopaść każdego. Również pozornie

beztroskiego nastolatka. Kompleksy, zaburzone poczucie własnej wartości, problemy w szkole, utrata wiary, dojmujące uczucie beznadziei.

Właśnie w takim momencie trafiłem do małej wioski w Burgundii i spotkałem cichego, niepozornego człowieka. To miejsce i ten człowiek zmieniły we mnie wszystko. Dlatego wracam tu od kilkunastu lat za każdym razem, kiedy tracę oddech i potrzebuję odnaleźć wewnętrzny spokój oraz siły do dalszego działania.

Wiele osób, kiedy słyszy słowo „Taizé”, myśli przede wszystkim o wielkich spotkaniach sylwestrowych i pięknych pieśniach. A to tylko malutki wycinek tego, czym tak naprawdę jest ta wspólnota, którą papież Jan XXIII nazwał „małą wiosną Kościoła”.

Taizé to szukanie nadziei tam, gdzie nikt jej nie dostrzega. To wyciągnięcie ręki do leżącego, szczególnie tego najsłabszego i najbardziej poranionego. To budowanie mostów tam, gdzie inni budują mury. To wprowadzanie zaufania tam, gdzie inni sięją lęk. To szukanie światła nawet w największych ciemnościach.

Wiem, że czasy są naprawdę trudne. Wiem, że dla wielu z nas ostatnie miesiące były okresem mierzenia się z przytłaczającą, a czasem nawet mroczną prawdą o naszym Kościele. Kiedy dodamy do tego świadomość o wojnach, głodzie i konfliktach toczących się na całym świecie oraz niepewność o przyszłość Ziemi wynikającą ze zmian klimatycznych napędzanych naszą chciwością, egoizmem i krótkowzrocznością, robi się naprawdę nieprzyjemnie. To wszystko może budzić poczucie bezsilności. Sam tak czasem mam.

Dlatego nie powiem ci, że mam dla ciebie receptę i że jeśli jej użyjesz, na pewno znikną twoje problemy i wszystko będzie dobrze. Oddaję w twoje ręce tych kilkaset stron zadrukowanego papieru, mając nadzieję, że pod wpływem lektury dasz sobie szansę

na nowy początek. Że niezależnie od tego, w jak trudnej sytuacji się w tej chwili znajdujesz, zaryzykujesz i zaczniesz od nowa, mimo wszystko. Tym razem już nie sam, lecz szukając siły w Tym, który przychodzi do ciemności ze światłem i dla którego nie ma rzeczy niemożliwych.



Siedzimy w La Moradzie. To takie miejsce dokładnie pośrodku Taizé. Tu młodzi ludzie spotykają się z braćmi. Jesteśmy w jednym z małych pokoi, w których bracia przyjmują osoby chcące z nimi porozmawiać. Na środku pomieszczenia stoi niewielki okrągły stół. Okno wychodzi na ogród, w którym w ciągu dnia odbywają się różne spotkania w niedużych grupach i rozmowy. Po drugiej stronie ogrodu widać pracownię garncarską, gdzie pracuje prawie dziewięćdziesięcioośmioletni brat Daniel.

Ile czasu trzeba było, żebyśmy w końcu znaleźli się w tym miejscu! Już od dawna czułem, że chcę napisać książkę o Taizé, w której moim rozmówcą byłby brat Marek. W pierwszej chwili w ogóle nie chciał o tym słyszeć. Mówił, że nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Przez kolejnych kilka lat w nakłanianiu go do zmiany zdania pomagali mi dwaj młodszy bracia z Polski – Maciej i Wojciech.

Powoli już przestawałem wierzyć w powodzenie tego projektu, kiedy nagle przyszła niespodziewana wiadomość. W trakcie Europejskiego Spotkania Młodych w Madrycie ogłoszono, że kolejne spotkanie, pod koniec 2019 roku – w tym samym roku, w którym brat Marek kończy siedemdziesiąt lat – odbędzie się we Wrocławiu.

„Teraz albo nigdy” – pomyślałem i chwilę po ogłoszeniu tej informacji złapałem brata Marka i powiedziałem, że to jest najlepszy moment. Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że znowu odmówi. Ku mojemu zaskoczeniu stało się coś zupełnie innego. „Zapytam brata Aloisa i dam ci znać” – odpowiedział.

Minęły niecałe trzy miesiące. Jest marzec. Przyjechałem do Taizé na dwa tygodnie. Spotykamy się codziennie, czasami przed południem i po południu, nagrywamy. Z każdą kolejną rozmową coraz bardziej przekonuję się, z jaką pasjonującą historią mam do czynienia. Brat Marek na początku mówi bardzo nieśmiało, ale z czasem coraz bardziej się otwiera. Niby znam go prawie dwadzieścia lat, niby byłem już w tym miejscu tak wiele razy, a dopiero teraz poznaję fakty i opowieści, które otwierają zupełnie nowe perspektywy i pogłębiają zrozumienie. Jak dobrze, że jestem tu z dyktafonem i uda się jednak to wszystko nagrać i spisać.

Przeglądam notatki z pierwszych dni nagrań. Kiedy wspomina o pierwszych kontaktach ze wspólnotą, oczy zaczynają mu się szklić. Pojawia się łza. Jeszcze nigdy nie rozmawiałem z kimś, kto opowiadałby z takim wzruszeniem o swoim powołaniu czterdzieści lat po wstąpieniu do wspólnoty.

Poszukiwania

czyli otwarty dom, wspólnota sąsiedzka,
katecheta niebojący się pytań,
ksiądz wybiegający z konfesjonału i książka,
która zmieniła wszystko

Kim był Marek, zanim został bratem Markiem z Taizé? Gdzie to wszystko się zaczyna?

Często słyszę to pytanie. Nieustannie zadają je młodzi ludzie, którzy od wielu lat przyjeżdżają do Taizé z Polski. Czasem mnie to dziwi, bo ja już siwy dziadek powoli się robię, a oni wciąż pytają. Mam już przygotowanych kilka wersji historii, żeby nie opowiadać w kółko tego samego (śmiej). Staralem się jednak zawsze poważnie odpowiadać na te pytania, bo wiem, że kryło się za tym też jakieś osobiste poszukiwanie tych młodych ludzi. Rozumiem, że ty nie zadowolisz się krótką wersją? To zaczęną może tak. Dzisiaj mogę powiedzieć, że wszystko, co działo się w moim „pierwszym” życiu, było przygotowaniem do życia w ekumenicznej wspólnotcie.

Zacznijmy od samego początku. Gdzie się brat urodził?

W Kościanie koło Poznania. Stamtąd pochodziła moja mama. Z tym miejscem czuję się mocno związany, bo spędziłem tam dużą część dzieciństwa, lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte. Urodziłem się zaraz po wojnie, w 1949 roku. W pamięci z tego czasu mam trudne obrazy. Wycieczkę szkolną do Wrocławia. Przejżdżaliśmy przez Głogów, który leżał w ruinie. Wrocław też jeszcze w dużej części był zrujnowany.

Kim byli brata rodzice?

Pochodzę z rodziny nauczycielskiej. Mama zaczęła pracować zawodowo trochę później, bo najpierw naszą trójkę wychowywała. Mam dwóch młodszych braci. Ojciec pracował w Wyższej Szkole Ekonomicznej, był z wykształcenia chemikiem. Był człowiekiem

ukierunkowanym na konkrety, na technikę. Od zawsze miał nadzieję, że pójdę na politechnikę, ale jakoś się z tego wywinąłem.

To była pobożna rodzina?

Rodzice byli tradycyjnie pobożni. Niepójście w niedzielę do kościoła w ogóle nie wchodziło w rachubę, nikt się nad tym nie zastanawiał. W pewnym momencie coś się zaczęło zmieniać. Ojciec miał potrzebę pogłębiania swojej wiary i wiedzy, chciał więcej rozumieć, być bardziej świadomy, dlatego zaczął studiować książki teologiczne. Kupował i pochłaniał mnóstwo książek. Mamę też tym zaraził. Razem chodzili na różne wykłady organizowane w kościele Wszystkich Świętych w Poznaniu. To były cykle wykładów z filozofii, z historii Kościoła, wykłady biblijne.

Brata też to wciągnęło?

Niekoniecznie. Byłem w wieku wczesnego dojrzewania. Wtedy teologia to nie jest coś, co cię najbardziej pociąga.

A co pamięta brat z domu rodzinnego?

Moi rodzice stworzyli w domu klimat otwartości. Stale byli u nas jacyś goście. Bardzo różni ludzie. Było wiadomo, że mój ojciec interesuje się sprawami duchowymi, religią, ale robił to w taki sposób, że nie zrażał do siebie inaczej myślących. Nie był nachalny, nie moralizował. Przez nasz dom przewijali się niewierzący, agnostycy, ateści. I swobodnie dyskutowali, szanując swoje różnicowanie. Nie wszystko jednak toczyło się wokół poważnych rozmów. To były czasy komunistyczne. Niewiele było atrakcji i rozrywek. Rodzice byli pełni energii, więc organizowali w naszym domu spotkania towarzyskie, zabawy, gry w karty.

Jak spędzaliście wakacje? Wyjeżdżaliście gdzieś?

W rodzinie nauczycielskiej mieliśmy długie wakacje. Ojciec lubił wymyślać dla nas różne specjalne wyjazdy. Zawsze działo się coś ciekawego. Nie leżeliśmy bykiem na plaży. Było nas trzech chłopaków, więc trzeba było takiego spędzania czasu, który wymagał od nas wysiłku, żebyśmy się trochę zmęczyli, zmierzyli z wyzwaniem i czegoś może przy okazji nauczyli.

Ma brat w pamięci jakieś konkretne historie?

Pamiętam, że jeździliśmy na wieś. Do cioci. Tam ojciec urządzał nam zawody sportowe, lekką atletykę. Biegaliśmy, skakaliśmy, rzucailiśmy oszczepami. Wszystko było bardzo proste i prowizoryczne. Oszczep to była gałąź, kula to był kamień, płotki to były postawione kijki. To wystarczyło, żebyśmy się poczuli jak na prawdziwych mistrzostwach.

Potem, jak nieco podrośliśmy, miałem może z piętnaście lat, ojciec wymyślił, że będziemy organizowali spływy. Mieliśmy trzy czy cztery stare kajaki, pożyczone z AZS-u z Poznania. Były w kiepskim stanie, więc trzeba było je wyremontować. Sami musieliśmy je malować, łątać dziury i później jakąś ciężarówką, którą ojciec gdzieś pożyczył, jeździliśmy nad jeziora i rzeki. Ja z braćmi na pace, a mama i ojciec w szoferce. W tamtych czasach nie było jeszcze mowy o żadnych kwestiach bezpieczeństwa. Nasz debiutancki spływ to była Brda. Od Miastka do Rudzkiego Mostu, czyli prawie cała rzeka. Mama bała się wody jak ognia, ale ojciec chciał, żebyśmy robili odważne rzeczy.

Mówię o tym, bo pamiętam, że w wakacje zawsze było pięknie. I zawsze w otoczeniu natury. W lasach, nad wodami, piliśmy wodę z rzeki, z jeziora, łowiliśmy ryby, zbieraliśmy grzyby i jagody, to, co zebraliśmy, jedliśmy później z makaronem. Albo kupowało się

trochę smalcu czy chleb u gospodarzy. Te proste wydarzenia poszerzały moje horyzonty. Piękno, wysiłek, wyzwania, przełamywanie lęków.

Ostatnio gdzieś słyszałem, że jak się w domu pije wodę z kranu, puszcza dzieci same do lasu albo by popływały i w ogóle się ich jakoś specjalnie nie pilnuje, to jest to rodzina patologiczna. No to ja właśnie w takiej patologicznej rodzinie się wychowałem (śmiech).

A jak żyliście z braćmi?

Mieszkaliśmy na kupie w jednym pokoju. Trochę ich ćwiczyłem. Mam wyrzuty sumienia, bo ja lubiłem porządek, a oni nie lubili, więc tu był duży konflikt. Mogłem czasem odpuścić. Byłem najstarszy, ale różnica była między nami niewielka. Rok po roku się rodziliśmy, więc na początku wyglądaliśmy jak trojaczki.

Mieliście w domu jakieś poważniejsze problemy?

Było trochę trudnych sytuacji. Myślę, że nie ma rodzin zupełnie wolnych od konfliktów. Ja kiepsko spałem, miałem lekki sen, więc wiele spraw w ten sposób odkrywałem, słyszałem, jak rodzice się czasem kłócili. Na szczęście nie przelewali tych trudności na nas. Mogę szczerze powiedzieć, że nasze dzieciństwo i lata młodości były spokojne. I mimo że zdarzały się trudne sytuacje, więcej było tych dobrych, które neutralizowały to, co mogło wywołać w nas głębsze zranienie. Ale jakieś rany wszyscy nosimy, wszyscy je mamy, więc skłamałbym, gdybym powiedział, że ja jestem wyjątkowy. Przede wszystkim jednak pamiętam wielką troskę rodziców o rodzinę, o nas. I ich wysiłek, żeby pokonywać trudności. Nawet w dni, kiedy było między nimi jakieś napięcie, coś trudnego się działo, równocześnie dbali bardzo o to, żebyśmy widzieli, jak się jedną, przepraszają się, wybaczą sobie. Te momenty bardzo

zapadły mi w pamięć. Taki jasny, piękny obraz, na którym widzę, jak rodzice się obejmują. I po burzy potrafią zacząć od nowa i iść razem do przodu.

Do szkoły brat lubił chodzić?

Dużo zależało od nauczycieli, od tego, jacy byli. Pamiętam pierwsze lata podstawówki. Mieliśmy taką bardzo dobrą nauczycielkę, z powołania. To była starsza pani. Widać było, że nas lubi, chce nam dać od siebie jak najwięcej. Dostrzegała, co warto w nas rozwijać. To jest dobre wspomnienie: ktoś taki pojawił się w życiu i cię zauważył.

Pamiętam też, jak podśledzałem raz rozmowę mojej mamy z bibliotekarką. Bibliotekarka powiedziała do mojej mamy tak: „Ten pani syn! Wiele jest w nim ukryte, ale nie potrafi tego wyrazić”. Utkwiło mi to głęboko w pamięci. Również dlatego, że czułem, że to prawda. Te słowa mnie nie zraniły, tylko zmobilizowały, żeby zmierzyć się z tym wyzwaniem, zacząć próbować wyrażać swoje emocje i myśli, a nie brnąć w zamknięcie w sobie i nieśmiałość. Bo ja faktycznie w tamtym czasie byłem mocno introwertyczny. W szkole też powstawały pierwsze kręgi przyjaciół. Te przyjaźnie były jeszcze takie dziecięce, kruche, ale je pamiętam i były dla mnie ważne.

Później poszedłem do szkoły średniej. To była męska szkoła publiczna. Wtedy tak było, że publiczne szkoły były podzielone na męskie i żeńskie. Nie wspominam tego czasu dobrze. Najlepsze słowo, które może oddać to, co się tam działo, to chyba „dżicz”.

Co to znaczy?

Coś tam podpalaliśmy (śmiech). Koledzy gnębili nauczycielkę, naśmiewali się z niej. Mnie to denerwowało. To była pani od

fizyki. Nieśmiała kobieta. Wiadomo, jak to chłopaki w takim wieku. Wskakiwali z takimi zagrywkami, że aż się wstydzę opowiadać. Nie mam więc za wiele dobrych wspomnień z liceum. Dyrektor jednak był znakomity, wyjątkowy człowiek. Kultura, klasa. Pamiętam, że robiło na mnie wrażenie, że był co niedzielę w kościele, co w tamtych czasach nie było takie oczywiste, można było stracić pracę.

Publiczne angażowanie się w życie religijne mogło skutkować problemami w życiu zawodowym?

Nie ma chyba jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Zależy od miejsca, sytuacji i ludzi. Moja rodzina nie spotkała się z żadnymi strasznymi szykanami. Być może mój ojciec nie mógł zrobić kariery uniwersyteckiej, bo nie krył się ze swoimi poglądami i wiarą. Był cenionym pedagogiem i do emerytury pracował na uczelni. Cenili go studenci i współpracownicy, ale nie zrobił ani doktoratu, ani innych wyższych stopni naukowych. Myślę, że to mogła być konsekwencja otwartego wyznawania wiary w tamtym systemie, ale pewności nie mam. Ojciec nigdy o tym w domu nie mówił, nie żalił się.

Czy w dzieciństwie były jeszcze jakieś okoliczności, które mocno wpłynęły na brata wrażliwość?

To może zabrzmieć zaskakująco, ale z dzisiejszej perspektywy widzę, jak ważne było dla mnie dorastanie w sąsiedztwie, w naszym bloku. Dość szybko przeprowadziliśmy się do Poznania i mieszkaliśmy na takim zwykłym blokowisku. W centrum miasta. To była taka plomba, jakich wiele powstawało po wojnie. Pamiętam nasze podwórko, na którym mogliśmy się wybiegać i wykrzyzczeć. I trzepak, na którym można było wywijać koziółki.

Sąsiedztwo i sąsiedzi mieli na mnie duży wpływ. Głównie to byli robotnicy, a więc inna warstwa społeczna, ale była między nami prawdziwa zażyłość. Można powiedzieć, że serdeczne, a czasem nawet bliskie stosunki pomagały nam godnie żyć. Nie pochodzę z bogatej rodziny, nauczyciele wtedy nie zarabiali wiele. Pamiętam, że mama i sąsiadka pożyczaly sobie wzajemnie pieniądze, bo robotnicy dostawali wypłatę dziesiątego, a nauczyciele pierwsze-go. Mamie wystarczyło pieniędzy do połowy miesiąca, a potem prosiła sąsiadkę i ona jej pomagała. Sąsiadce też przed dziesiątym brakowało pieniędzy, więc mama jej pożyczala. Wzajemna pomoc była czymś naturalnym. A dzieci bawiły się razem nie tylko na podwórku, odwiedzaliśmy się wzajemnie w mieszkaniach. Można powiedzieć, że z sąsiadami żyło się prawie tak blisko jak z rodziną. Miało to coś ze wspólnotowości i solidarności. Mam wrażenie, że dziś jest tego o wiele mniej i to zuboża nasze społeczeństwo.

A pierwsze kontakty z Kościołem?

Odbывały się przez parafię. Chodziłem do kościoła z rodzicami i to było takie tradycyjne, zwykłe uczestniczenie w życiu Kościoła. Już z tamtego czasu mam w pamięci intensywne przeżywanie Triduum Paschalnego. Wiadomo, że wtedy stało się w kościołach na baczność i dziecko nie widziało nic, ale jednak pamiętam, że uczestnictwo w obchodach Triduum wywierało na mnie wielkie wrażenie. Lubiłem chodzić na nabożeństwa wielkoczwartkowe, wielkopiątkowe...

Dlaczego?

Trudno to określić. Myślę, że było to pierwsze spotkanie z jakąś tajemnicą. To przeżycie mnie wciągało, ale wtedy jeszcze sobie tego nie uświadamiałem. Mówię teraz o takim wczesnym dzieciństwie.

Potem zacząłem chodzić na religię. Szkołę zacząłem w 1956 roku, więc przez rok czy półtora religia była jeszcze w szkole, ale później przeszliśmy do parafii. I muszę przyznać, że dobrze wspominam te nasze katechezy odbywające się właśnie przy kościele. Mieliśmy naprawdę sensownych katechetów, którym mogliśmy stawiać trudne pytania. Jednemu z nich, to było już w liceum, zadaliśmy pytanie o sumienie. I do dziś pamiętam jego odpowiedź. Powiedział, że nasze sumienie jest tym, czym mamy się zawsze kierować. Jest najważniejsze. Oczywiście trzeba je dobrze kształtować, formować. Kiedy go dociskaliśmy i wprost stawialiśmy mu pytanie: co, jeżeli w moim sumieniu rozeznam, że coś jest dobre, a równocześnie obiektywnie jest to grzech, czy w takiej sytuacji też mamy iść za swoim sumieniem, on bez wahania mówił nam, że tak.

Poważnie was traktował.

Tak jak dorosłych, poszukujących ludzi. Te katechezy pozostały w mojej pamięci jako piękny czas otwierania umysłu, uczenia się świadomego korzystania z wolności, odkrywania zupełnie nowych horyzontów w myśleniu o wierze. Wyzwalały mnie z takiego tradycyjnego poczucia, że coś muszę, że chrześcijaństwo to zbiór obowiązków i ostrych reguł, których trzeba przestrzegać, bo jak nie, to Bóg nas ukarze. Pomagały mi w uwalnianiu się od takiego lękowego przeżywania wiary.

Chodziliście z rodzicami do kościoła, uczył was brat na katechezę. A czy rodzice przekazywali wam jeszcze wiarę jakoś inaczej, w domu?

To się zmieniało. Z początku byliśmy – można chyba tak powiedzieć – taką tradycyjną polską rodziną katolicką. Wiele rzeczy wynikało z przyzwyczajenia. Później – jak już wspomniałem – rodzice

zaczęli odczuwać potrzebę pogłębiania wiary, dlatego zaczęli dużo czytać, uczestniczyć w spotkaniach. Szczególnie dotyczyło to mojego ojca, który był człowiekiem bardzo konkretnym.

Kiedyś, gdy młodzi przyjeżdżający do Taizé wypytywali mnie o moich rodziców, wróciły mi dwa konkretne obrazki. Pierwszy to mama, która sama nas wychowywała, trójkę chłopaków, potrafiących czasem mocno dać popalić, nie miała żadnej pomocy z zewnątrz, więc czasami była naprawdę umęczona. Pamiętam, że mimo tego zmęczenia codziennie widzieliśmy ją klęczącą wieczorem przy swoim łóżku. Czasami w takiej pozycji zasypiała. Jestem pewien, że to jest jedna z piękniejszych modlitw – zasypiająca matka. Wtedy tego nie rozumiałem, ale to zrobiło ze mną coś bardzo ważnego. To była taka prosta, domowa szkoła modlitwy.

I ojca też pamiętam przy modlitwie. On był zawsze spóźniony, biegł do pracy na ostatnią chwilę. I choć miał mało czasu, zawsze klękał przy swoim biurku – nad nim miał krzyżyk, który był w naszej rodzinie od pokoleń – i chwilę się modlił. Zakrywał twarz rękoma i modlił się w ciszy. To trwało minutę, może dwie, ale to też zapamiętałem jako obraz żywej wiary.

Nasi rodzice mieli żywą wiarę i taką nam przekazali. Ta wiara nie polegała na jakichś doskonałościach, pobożnościach ani na moralizatorstwie, tylko na tym, że modlili się codziennie, że szukali kontaktu z Bogiem, że mieli pytania i nie bali się szukać odpowiedzi.

A na tym wczesnym etapie, w szkole podstawowej, w liceum, miał brat jakieś plany? Kim brat chciał zostać, gdy był nastolatkiem?

Nie bardzo wiedziałem, kim chcę być. To była burza (śmiech). Miałem w sobie dużo niepewności, szarpałem się.

Między czym a czym?

No księdzem wtedy jeszcze nie chciałem być. To jeszcze nie wchodziło w grę.

W ogóle brat o tym nie myślał?

Nie. Chociaż znajomy ksiądz, który był potem przez jakiś czas jednym z moich pierwszych duszpasterzy akademickich, mnie do tego namawiał. Nie chciałem też być ministrantem. Chyba nie lubiłem, jak się na mnie za bardzo naciskało.

Mam jedno ważne wspomnienie. Po jednej ze spowiedzi ksiądz wybiegł za mną z konfesjonału. To nie zdarza się codziennie. Miałem wtedy pewnie około czternastu lat. Wybiegł za mną przed kościół tylko po to, żeby mi powiedzieć coś dobrego, podnieść mnie na duchu. Przypomniałem to sobie po latach i pomyślałem, że to jego wybiegnięcie miało duży wpływ na moje wybory i decyzje. Tym zachowaniem pomógł mi dostrzec, że Pan Bóg jest Tym, który wychodzi do człowieka, jest dobry, troszczy się o nas i nas nie potępia, chce nas podnieść. To mocno wpłynęło na moje myślenie o kapłaństwie.

Oczywiście mam też inne doświadczenia z księżmi, nie takie budujące. Jeden wyszedł kiedyś z konfesjonału i na mnie nakrzyczał. O takich zachowaniach nie warto wiele mówić. Szkoda na to czasu. Może poza stwierdzeniem, że tego typu sytuacje są niedopuszczalne, bo mogą zranić młodego człowieka na lata.

Wtedy jednak seminarium nie wchodziło w grę. Chciałem iść na studia. Nie byłem pewien na jakie, długo się wahałem. Myślałem o językowych, ale znajomi mówili, że po nich nie znajdę pracy. Poszedłem na kompromis – wybrałem studia, na których było dużo nauki języków obcych. To były studia ekonomiczne,

nazywało się to handel zagraniczny, coś jak dzisiejsze stosunki międzynarodowe. I te studia skończyłem.

Równoległe ze studiami zaczęło się duszpasterstwo, tak?

Znajomi mnie wciągnęli. To było takie niewielkie duszpasterstwo akademickie przy kościele Maryi Królowej. Ten kościół ma dużą wieżę, dlatego sami mówiliśmy, że idziemy „na Wieżę”, a inni mówili na nas „ci z Wieży”. W największym rozkwicie było nas sześćdziesiąt, osiemdziesiąt osób. Tutaj na poważnie zacząłem swoje samodzielne poszukiwania i pogłębianie wiary. Nasze duszpasterstwo było czymś zdecydowanie więcej niż tylko słuchaniem wykładów i formacją intelektualną. Duszpasterz stworzył z nas wspólnotę ludzi, którzy czuli się za siebie odpowiedzialni, były między nami silne więzi. Obchodziliśmy swoje urodziny, imieniny, odwiedzaliśmy się, wyjeżdżaliśmy razem, było dużo wspólnego działania. Ksiądz nas do tego mobilizował, zapraszał nas do brania współodpowiedzialności, więc wiele rzeczy musieliśmy robić sami. Bez naszego wkładu duszpasterstwo by po prostu nie funkcjonowało.

Było też dużo modlitwy. Mieliśmy zwyczaj śpiewania apelu jasnogórskiego. Spotykaliśmy się wieczorem już w takiej trochę mniejszej grupie, około dziesięciu osób. Po chwili modlitwy było spotkanie. Wtedy mieliśmy czas na poważne rozmowy, dyskusje, planowanie wspólnych działań. Oczywiście byliśmy różni, więc nie we wszystkim się zgadzaliśmy i były między nami różne napięcia, ale jakoś tak naturalnie wszystko sprowadzało się do tego, że jesteśmy wspólnotą, że chcemy budować więzi zaufania, a nie tylko spadać na chwilę, pomodlić się i uciekać do domu.

I to właśnie w tym duszpasterstwie pojawił się mój przyjaciel, Henryk Mruk, który interesował się ruchem ekumenicznym.

W tamtych latach, czyli w końcówce lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych, ekumenizm w Polsce był niesamowicie żywy. Dziś to nie brzmi jak coś oczywistego, ale wtedy w wielu seminariach i przy duszpasterstwach powstały koła ekumeniczne. U nas też. Wspomniany przyjaciel nas w to wszystko wciągnął. On miał już wcześniej kontakty z ewangelikami, z metodystami. Zaczęliśmy odwiedzać się nawzajem. Chodziliśmy do baptystów, metodystów, luteranów, prawosławnych. Powstawały takie przyjacielskie, życzliwe, otwarte kontakty z pastorami i świeckimi różnych tradycji. Uczyliśmy się od siebie nawzajem różnych rzeczy. Pamiętam, że na przykład u baptystów była grupka młodych ludzi, którzy bardzo pięknie śpiewali. Oni nas uczyli pieśni, które wykorzystywaliśmy później, modląc się w naszym duszpasterstwie.

Ten żywy ekumenizm był tylko w Poznaniu czy objął całą Polskę?

To nie działo się tylko u nas lokalnie. W tym samym czasie ekumenizmem w Polsce zajmowała się siostra Joanna Lossow, franciszkanka z podwarszawskich Lasek. Zadanie powierzył jej kardynał Wyszyński, który miał do niej wielkie zaufanie. To była szczególna osoba. Jak się później dowiedziałem, pochodziła z okolic Kościana, czyli z mojej rodzinnej miejscowości. Urodziła się w rodzinie mieszanej. Jej ojciec był protestantem, a mama katoliczką. Można więc powiedzieć, że miała naturalne predyspozycje do działań ekumenicznych.

Robiła to sama?

Nie. Miała przyjaciółkę, Reginę Witt, diakonisę z Kościoła luterńskiego, i działały razem. My poznaliśmy je przez spotkania

ekumeniczne, które odbywały się regularnie w Laskach pod Warszawą, dwa razy do roku, wiosną i jesienią. Jeździliśmy tam z Henrykiem i jeszcze lepiej poznawaliśmy różne tradycje chrześcijańskie, spotykaliśmy chrześcijan różnych denominacji z całej Polski. Siostra zapraszała pastorów, księży prawosławnych i ludzi z różnych zakątków kraju, którzy mieli podobną wrażliwość. Z Warszawy, Krakowa, Katowic, Wrocławia. Budujące przeżycie różnorodności i wspólnych poszukiwań. I to chyba właśnie na tych spotkaniach w Laskach usłyszałem o Taizé.

To był pierwszy kontakt?

Pierwsze rozmowy. A taki zupełnie pierwszy kontakt był dzięki książce *Taizé i Kościół jutra*, której polskie tłumaczenie ukazało się w 1968 roku. Autorem był Jean-Marie Paupert, francuski dziennikarz. Myśmy tę książkę razem z przyjaciółmi dorwali i wałkowaliśmy ją na wszystkie możliwe strony. Dołączona do niej była reguła napisana przez brata Rogera. To są jego wskazówki dla braci. Esencja Taizé.

W duszpasterstwie próbowaliśmy żyć według tej reguły. Oczywiście na tyle, na ile się dało. W kilka osób poczuliśmy, że chcemy założyć małą wspólnotę. Był w nas taki trochę szalony młodzieńczy zapał, traktowaliśmy to wszystko bardzo serio.

Co was najbardziej pociągnęło?

Dwie rzeczy. Po pierwsze było to niesamowicie radosne przedstawienie wiary. Słowo „radość” pojawia się w regule trzydzieści kilka razy. Po drugie radykalizm, ale nieskoncentrowany na człowieku, który ma żyć tą regułą. Myślę, że było w nas wtedy pragnienie ewangelicznego radykalizmu. A reguła odsyła nas do samego jego źródła, którym nie są nasze siły oraz nasze bohaterskie wyczyny

i postanowienia, ale Ten, który przychodzi, żeby zjednoczyć się z człowiekiem i nauczyć go kochać.

Co to znaczy, że chcieliście żyć wspólnotowo? Udało się?

Chcieliśmy w Poznaniu znaleźć jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy razem mieszkać i żyć. To była para, przyszłe małżeństwo, i ja.

Zrobiliśmy konkretne kroki w tę stronę. Kiedy pierwszy brat przyjechał z Taizé do Polski, odwiedził też Poznań. I nam się udało z nim spotkać. Jako specjaliście od wspólnoty przedłożyliśmy mu swoje plany. On oczywiście z wielkim szacunkiem nas słuchał. Ostatecznie nasze ścieżki ułożyły się trochę inaczej.

W trakcie studiów działo się coś jeszcze, co mocno na brata wpłynęło?

Tak. Duży wpływ na moją wrażliwość i spojrzenie na świat miał kontakt z Aktion Sühnezeichen, po polsku Akcją Znak Pokuty. To było stowarzyszenie założone przez Niemców, którzy chcieli wynagrodzić za cierpienie spowodowane przez nazistów, szczególnie w krajach, gdzie wojna pozostawiła największe spustoszenie. Ich działalność w naszym kraju polegała na tym, że organizowali letnie wyjazdy, w trakcie których starali się pomagać lokalnej społeczności. Na przykład w Nowej Hucie przy budowie słynnego kościoła albo przy porządkowaniu obozu zagłady w Auschwitz.

Skoro mówię o kontaktach z Niemcami i ludźmi z innych krajów, to musimy na chwilę wrócić do czasu liceum. W klasie maturalnej razem z moim przyjacielem zostaliśmy wysłani na Węgry do szkoły, która obchodziła dwudziestopięciolecie. Chcieli to zrobić hucznie i zaprosili uczniów z różnych szkół średnich Europy Wschodniej. Zostaliśmy wybrani, bo dobrze znaliśmy język niemiecki. To był mój pierwszy kontakt z zagranicą. Piękny wyjazd.

Węgrzy przyjęli nas jak najlepszych przyjaciół – wiadomo: Polak, Węgier, dwa bratanki. Właśnie na tym wyjeździe po raz pierwszy w życiu spotkałem na żywo Niemców. I okazało się, że oni – wbrew temu, co nam wmawiała komunistyczna propaganda – nie mieli zamiaru do mnie strzelać! Przeciwnie, byli bardzo życzliwi, chcieli się jak najwięcej dowiedzieć o Polsce. Wtedy zrozumiałem, jak ważne jest spotkanie twarzą w twarz. Ono może wszystko zmienić, przelamać lęki.

Byli tam też Bułgarzy. Młodzi ludzie, nie mieli nic wspólnego z wiarą czy Kościołem. Totalni ateści. Mówili, że ich babcie w coś tam jeszcze wierzyły, ale oni już nie. Los chciał, że ten wyjazd odbywał się w Wielkim Tygodniu, więc wiadomo, my, Polacy, nie wyobrażaliśmy sobie, żeby nie pójść do kościoła. Szukaliśmy miejsca, w którym moglibyśmy przeżyć Triduum. I ci niewierzący Bułgarzy nam w tym pomagali. A w Wielkanoc poszli z nami na mszę i uczestniczyli w niej z wielkim szacunkiem i ciekawością. Bardzo mnie to poruszyło.

I w końcu w czasie studiów pojawiły się też myśli o zostaniu księdzem, tak?

Było trzech chłopaków mniej więcej w moim wieku, którzy myśleli o kapłaństwie.

Studenci związani z duszpasterstwem?

Tak. Oni znaleźli księdza, który był fantastyczny w czymś, co się dziś nazywa towarzyszeniem duchowym. To zresztą ten sam ksiądz, który organizował konferencje, w których brali udział moi rodzice. Nazywał się Kazimierz Żarnowiecki. On właśnie zajmował się osobistym towarzyszeniem duchowym. No i ci trzej koledzy mnie w to wciągnęli.

Nie opierał się brat?

Nie. Bo wtedy już trochę o tym myślałem. Nie potrafię powiedzieć, skąd się te myśli dokładnie wzięły. Może to ten ksiądz, który kiedyś wybiegł za mną z konfesjonału.